TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

Vol. 2 Nr. 31 (83) Nowy Jork, 30 lipca — New York, 21, N. Y., July 30th, 1944 Cena 15 ct.

ZE SKARBÓW POLSKIEGO WILNA



WNĘTRZE KOŚCIOŁA ŚW. PIOTRA I PAWŁA NA ANTOKOLU

OKO W OKO Z PRAWDĄ

To, cośmy zdawna przewidywali, w co nie chcieli uwierzyć tylko nieuleczalni usypiacze, niezdolni spojrzeć prawdzie w oczy, przekonani że zawsze wkońcu "wszystko jakoś się ułoży" — stało się. "Patrjoci polscy" z Moskwy połączeni z takiemiż samemi "patrjotami" z kraju ogłosili się rządem, który obejmie władzę w Polsce. Kto wierzył, że Stalin pragnie naprawdę "Polski silnej i niepodległej" może już teraz zobaczyć jak ta siła i niepodległość wygląda. Za parę miesięcy zobaczy jeszcze lepiej.

Pierwsze uczucie, pierwsza myśl, jakie te wieści budzą — są to uczucia buntu przeciw losowi naszego kraju jest to myśl o szukaniu środków, któreby dopomogły tym, którym przyjdzie po pięciu latach najcięższej niewoli żyć pod takim rządem i pod jego mocodawcami.

Już dzisiaj ów "rząd" zapowiada że jego demokratyzm nie stosuje się do "faszystów" a wiemy przecież dobrze, że wszystko, co nie poddaje się Moskwie ogłaszane jest za faszyzm; — "faszystą" jest już Chiang Kai Szek; nie ma więc wątpliwości że "faszystami" będą wkrótce wszyscy socjaliści polscy, cała inteligencja polska, wszystko co pragnie ale pragnie naprawdę "Polski silnej i niepodległej".

Przeciwko losowi naszego kraju, który naprawdę wydaćby się mógł jakiemś tragicznem, nad wolę ludzką silniejszem, zrządzeniem — wystąpić musi wola nas wszystkich, przeświadczenie o niezniszczalnovci naszego narodu, o świętej słuszności naszej sprawy; i przedewszystkiem właśnie o sile ludzkiej woli, która już nieraz zmieniała los, zdawało się tragiczny i kruszyła najpotężniejsze siły gwałtu i przemocy. Jesteśmy o tem głęboko przekonani, że ta wola silna i nieznająca wahań naszego rządu, wola, której od niego oczekujemy, której wymagamy, że wola i ofiarność nas wszystkich, trwanie niezłomnie przy wszystkich tak pogwałconych dziś prawach naszego narodu — że owa godność i odwaga, są nietylko niezmiennemi nakazami moralności ale że są też najlepszą obroną, jaką możemy dać dzisiaj naszej umęczonej Ojczyźnie i naszym rodakom, poddanym gwałtowi i zmuszonym do milczenia.

Katastrofa, w której kruszy się i łamie dziś świat cały jest skutkiem widocznym, bijącym w oczy niewiary w wartości moralne, niewiary, aby one były też rzeczywistością, aby mogły ważyć w historji; kto tę prawdę rozumie, kto wie, że giniemy przez zdradę zasad, przez tchórzostwo wobec przemocy — ten zrozumie także, że opór przeciw zaborowi Polski, opór ze wszystkich sił, jawny i odważny — jest jedynym dziś nakazem rozumu, bo jest trwaniem Polski przy hasłach z któremi związany jest sam jej byt i istnienie naszego narodu.

Musimy przeniknąć się wszyscy świadomością tego, co dokonał nasz kraj; czego dokonało nasze wojsko dla sprawy wolności. Musimy zrozumieć wszyscy jaką potwornością byłoby po tem wszystkiem pogrążenie Polski w niewoli, musimy pojąć, że pomimo cynizmu krótkowzroczności i wygody, panoszących się dziś wszędzie, żaden naród naprawdę wielki, jak Stany Zjednoczone i Anglja nie mógłby wziąść świadomie na swoje sumienie zbrodni takiego zakończenia wojny, podjętej w imię wolności.

Do tego sumienia, które może jest uśpione, zmęczone, ukołysane złudzeniami — ale które istnieje, do którego napewno jest droga, mamy obowiązek, musimy się odwołać, odrzucając na bok wszelką śmieszną i bezradną w takich chwilach dyplomację, musimy przemówić językiem jedynie godnym chwili, językiem wielkiego narodu, językiem prawdy, której świat nie zna, bośmy sami ją przed nim kryli.

Żadne subtelne zapewnienia, że Polska pragnie zgody z Rosją, nie są dziś ani potrzebne ani skuteczne. Kto się o tem dotąd nie przekonał, kto może sobie wyobrazić że mała, tak mała wobec rosyjskiego kolosa Polska może szukać z nim zwady, nastawać na jego istnienie — tego żadne dusery naszego rządu wobec Moskwy — też niczego nie nauczą; jak nie przekonają też one o niczem samego Stalina, który wie doskonale że Polska, cała Polska chce żyć w zgodzie z Rosją i tylko on Stalin chce czegoś zupełnie innego.

Język, którym nasz rząd musi dziś przemówić, którym jedynie przemówić może, jeśli chce wyrazić to co czuje cały naród polski, kochający swój kraj i wolność ponad życie, jest to język prawdy, język wielkich przywódców naszego narodu, którym odzywali się oni w historycznych jego chwilach. Tym językiem przemawiał do nas i do obcych Józef Piłsudski, tym Ignacy Paderewski mówił do prezydenta Wilsona i nim odzywając się, zmieniał nieraz już powzięte, a krzywdzące nas decyzje.

Ich duchem natchnąć się powinien nasz rząd, nim musimy przeniknąć się wszyscy. Nasza sprawa nie jest tylko naszą. Jest ona częścią wielkiej sprawy wolności, w imię której świat wolny chwycił za broń i poniósł tyle ofiar, krwawił się tak okrutnie. Zakończenie tej wojny przez oddanie Polski w niewolę byłoby szaleństwem zagrażającem całemu światu. To musi być głośno powiedziane i mówione ciągle, to musi być głos i wołanie nas wszystkich.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

POWSTANIEC

Długie lata mówiło się u nas: "powstaniec",
Czyli wolność i walka, półszepty i troski,
Warszawa podchorążych, rogatki i szaniec,
Małogoszcz, gdzie się rąbał z Moskalem Czachowski.

Gdy tylko drogi w słotnej rozmokły jesieni
A ptak gdzieś w nocy krzyknął, słuch Polak otwierał —
Wiedzieliśmy z dzieciństwa: zapuka ktoś w sieni
I wejdzie nieznajomy z obrazu Grottgera.

Ballada czy testament, cokolwiek to było,
Jak przeraźliwie dzisiaj odgrzebać te leża,
Gdzie stary proch butwieje pod leśną mogiłą
I młoda kość odpada zpod hełmu żołnierza.

Jak trudno — ach, daremnie tłumaczyć to komu
Skąd matki w nas tę siłę przeniosły bezwiedną,
By, gdy już wszystkie drogi nam zamkną do domu,
Nie przestać dalej szukać i wejść jeszcze jedną.

Osaczonym ,co przeszli pół ziemi swą stopą,
Dziś nam znów się zwoływać i szukać gdzie szaniec;
Śród głuchej puszczy świata, zdradziecką Europą
Chodzić Polsce jak lasem jej chodził powstaniec.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

MONTE CASSINO

Nasze granice naszli znienacka,
słupy graniczne zewsząd zrąbali...
Idzie Kresowa, idzie Karpacka,
w dymie eksplozji, w huku batalji.

Nasze granice?... — trzeba ich szukać
w rytmie kaemów, w chrzęście pancerzy.
My już to wiemy, stara nauka
polskich tułaczy, polskich żołnierzy.

Idzie Karpacka, idzie Kresowa,
walą armaty, trzeszczą spandauy,
Tu nam nie ujdzie, tu się nie schowa
wróg, uzbrojony w broń doskonałą.

Idzie Kresowa, idzie Karpacka,
każdą bojową chrzęszcząc maszyną.
My was znajdziemy, choć poomacku,
w Monte Cassino! W Monte Cassino!

Padnie nas wielu w pięknej Italji,
żywi umarłych grzebmy i liczmy,
potem pójdziemy dalej i dalej
stawiać, przestawiać słupy graniczne.

Nasze granice? — "póki żyjemy",
wszędzie gdzie nasi walczą i giną.
Gniewnie idziemy ,krwawo idziemy,
nasze granice w Monte Cassino.

MARJA WERTEN

Cyprjan Norwid i Sztuka Narodowa Niepodległej Polski

(Dokończenie)

II.

Najbardziej destrukcyjnym elementem nowych warunków wytwórczości było kompletne odseparowanie artysty to jest projektodawcy-rysownika od wykonawcy — fabryki. Zniszczyło one podstawy logicznej, na znajomości techniki opartej, twórczości.

Następująca anegdota daje obraz panujących wtedy stosunków: Artysta, profesor akademji w Wiedniu zobaczywszy nowy rodzaj siodła, powiedział do siodlarza: "Nie masz zupełnie fantazji ani oryginalności — ja ci zrobię piękny rysunek na siodło. Gdy siodlarz dostał ów artystyczny rysunek, — rzekł: "Gdybym nie wiedział, co to jest konna jazda, gdybym nie znał skóry i nie rozumiał jak ją można opracować, — miałbym taką samą oryginalną fantazję, jak pan profesor".

Norwid w kilku słowach określił czem jest oddzielenie sztuki od rzemiosła: "to jest rozdział duszy od ciała — czyli śmierć!"

Chociaż Norwid mówił do Polaków i o sztuce polskiej, wszystkie powyższe myśli i wskazania tyczyły się nietylko stosunków polskich, — upadek i te same braki były zjawiskiem powszechnem i te same bodźce do odrodzenia sztuki niezbędne były wszędzie. Ale w Polsce zduszona w niewoli, sztuka specjalne miała znaczenie, więc najwyższego żądał Norwid wysiłku, by ją na właściwym postawić poziomie.

"Tylko sztuce, pojętej w całej swojej prawdzie i powadze Polak dzisiaj poświęcić może życie. Wieleż to talentów już zmarniało przez nierozświecenie tego poważnego stanowiska, jakie sztuka ma zająć? Zwłaszcza, że sztuka poświęcenia zupełnego wymaga".

"O Polsko! Granic twych nie widzę
linji
"Nic nie masz oprócz głosu,
tak uboga!
"Tyś głosem, który jest to.
co głos Boga!
"O Polsko, pieśnią Pan Bóg
Cię zapala,
"Aż rozgorzejesz, jak lampa
na globie."

Dla Norwida pełnowartościowa jest tylko sztuka narodowa:

"Każdy narod przychodzi **inną drogą** do uczestnictwa w sztuce; ile razy przychodzi tąż samą, [illegible] ugie to **nie on** do sztuki, ale sztuka **doń** przychodzi i jest rośliną egzotyczną i nie ma tam miejsca na artystów."

i dlatego szuka nietylko istotnych wartości sztuki, "choć jest to zapewne wiele" ale także jej stosunku do wartości narodowych:

"jabym główniej myśl artysty
badał
I czy dosłownie naród on spowiadał
Czy się nie wstydził prawdy
i nie stłumił,
Mogąc łatwiejszy oklask zyskać
sobie,
Mogąc być prędzej i szerzej
uznanym".

Takim artystą, który "dosłownie naród (swój) spowiadał" był Chopin. Muzyka Chopina jest najwyższym wcieleniem idei polskiej sztuki narodowej, najwspanialszą realizacją oparcia sztuki polskiej na sztuce ludowej nie przez naśladownictwo lecz przez rozwijanie jej.

"Podnoszenie ludowych natchnień do potęgi, przenikającej i ogarniającej ludzkość całą, podnoszenie **ludowego do ludzkości** nie przez stosowania zewnętrzne i koncesje formalne ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości oto jest, co wysłuchać daje się z muzy Fryderyka jako zaśpiewu na sztukę narodową."

Ma Polska muzykę narodową, ma i poezję, ale nie ma narodowej sztuki plastycznej mówi Norwid:

"Pieśń twa, o Polsko,
przeszła już ciemniejsze
I na świeczniku staje ze skrzydłami
Złotemi.. także dźwięk, co gra
harfami
I polonezem przechodzi Europę...
I — tylko **kształtu** nie masz
dla wnętrzności..
"...bryły zawsze nam za drobne
I zawsze formy do obcych
podobne."
"Pieśń masz, lecz pieśni gdzież
rozgałęzienie?"

Walcząc o polskość sztuki polskiej Norwid walczy o polską **formę** we wszystkich jej przejawach: czy w tak zwanej sztuce czystej, czy dekoracyjnej, między któremi — zgodnie z duchem naszych czasów — wyprzedzając swych współczesnych o lat kilkadziesiąt — nie widzi zasadniczej różnicy.

Nie tylko w czasach Norwida, ale długie lata po nim, jednym z objawów upadku sztuki było znaczenie, jakie przywiązywano do literackich tematów obrazów. Za najwyższy rodzaj sztuki uważano malarstwo historyczne, a w każdym razie figuralne. Malowanie pejzażów i martwych natur — od których właśnie zaczęło się odrodzenie malarstwa — było tak lekceważone, że krytycy francuscy pisali: "malarze, którzy mają czelność wystawiać martwe natury."

Klęska Francji w 70ym roku, godząc w dumę narodową, obudziła żywe uczucia patrjotyczne, które tak, jak w Polsce wyrażały się w specjalnem zainteresowaniu tematami narodowemi, zasłaniającemi wielokrotnie brak wszelkich istotnych wartości malarskich.

W Polsce, po długim okresie malarstwa patrjotycznego, gdy obok prawdziwych arcydzieł popularnością cieszyły się różne bohomazy o patrjotycznych tematach — dopiero Witkiewicz miał odwagę powiedzieć, że "dobrze namalowana głowa kapusty ma większą wartość niż źle namalowana głowa bohatera".

OD REDAKCJI

Celem dania wakacji przemęczonemu pracą personelowi — "Tygodnik Polski" zwyczajem wielu perjodyków amerykańskich robi tygodniową w tej pracy przerwę, tak że następny numer ukaże się za dwa tygodnie z datą 13 sierpnia. Oczywiście, że czytelnicy nasi otrzymają w ciągu bieżącego roku numer o zwiększonej objętości, który wyrówna brak tego wakacyjnego zeszytu.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Ale Norwid był pierwszym — i nietylko w Polsce — który rozumiał, że temat narodowy nie decyduje jeszcze o narodowym charakterze sztuki:

"Orłowski był **krajowym**, ale nie **narodowym;** przedstawiał **rzeczy naturalne, nie naturę rzeczy;** przedstawiał, **co widział**, a nie, co **przewidział!**

Mam wrażenie, że słowo przewidział użyte tu jest jako: widzieć coś głęboko, więcej niż widzieć.

Stara się więc Norwid sprecyzować pojęcie sztuki narodowej.

Przedewszystkim musi być miłość do Polski, do wszystkich przejawów polskości, jej pracy, jej duszy i musi być chęć wyrażenia tej miłości

"...wszelka inna miłość bez
 wcielenia
Jest upiorowym myśleniem,
 myślenia."
"Kto kocha, widzieć chce
 choć cień postaci.
I tak się kocha matkę, ojca, braci,
Kochankę, Boga nawet..."
"Kto kocha, widzieć chce choć cień
 obrazu,
"choć rozłożone ręce drogowskazu,
choć krzyż, litanji choć
 nawoływania".
Tak kochano Grecję, Rzym:
"O Grecjo! Ciebie, że kochano
 widzę
Dziś jeszcze w każdej marmuru
 pruszynie
W naśladownictwie, którego
 się wstydzę
Za wiek mój.

Jak w tem powiedzeniu, wyprzedza swe czasy, gdy prawie cała architektura była naśladownictwem wtedy!

"O Rzymie! Ciebie, że kiedyś
 kochano
W kodeksie jeszcze widzę
 barbarzyńskim".
"W akademickim języku
 Latyńskim,
W pofałszowanych Cezarach..."

Taką głęboką miłość do Polski chce widzieć Norwid nietylko w męczennikach, którzy są "artystów czołem" ale w polskim "kształcie dla wnętrzności" bo piękno "kształtem jest miłości", chce widzieć tę miłość wyrażoną w plastyce tak, jak była w poezji i w muzyce:

"W Polsce od grobu Fryderyka Chopina, rozwinie się sztuka, jako powoju wieniec, przez pojęcia nieco sumienniejsze o formie życia, to jest o kierunku pięknego i o treści życia, to jest o kierunku dobra i prawdy."

"...widzę przyszłą w Polsce sztukę
Jako **chorągiew na prac ludzkich
 wieży,**
Nie jak zabawkę, ani jak naukę,
Lecz **jak najwyższe z rzemiosł
 apostoła**
 I jak najniższą modlitwę anioła!

Chce widzieć sztukę polską, w której "pieśń i praktyczność — jedno, zaręczone" "w obliczu wieczności", sztukę w której myśl:

"powraca do onej — to ludowej inteligencji i **rozumu chłopskiego,** albo, **motvwów ludowych,** albo przysłów, albo **legend i pieśni** i tradycji technicznych nawet szuka.

Inaczej:

"pomiędzy **przeszłością** a **przyszłością otwiera** się próżnia rozpaczliwa. W tej próżni zrodzone pokolenie, między **przeszłością a przyszłością,** niezłączonemi niczem, czemże w rzeczywistości ma pozostać!"

Ale trzeba rozumieć i wiedzieć jakie są te odwieczne skarby narodu i jak je użyć:

"Kapitał albo **posag** narodowy nietylko jest w geodetycznym usposobieniu kraju, nietylko w klimakterycznych jego warunkach, nietylko w sile ramion i krwi rasy, ale i w potędze obrobienia i użycia owych materjałów. **Natura wyobraźni,** to jest, siły postaciowania, w obowiązującej jest harmonji względem otaczającego **materjału.** Zdawałoby się, że człowiek z ziemi żywotności zasób wyciągając, obowiązanym jest ją podnieść i uświęcić godnością idealizacji twórczej". I dlatego biada Norwid:

"...więc mi smutno
Że mazowieckie ani jedno płótno
Nie jest sztandarem sztuce,
 że ciosowy
W krakowskiem kamień
 zapomniał rozmowy,
"... że kościoły
Nie na ogiwie polskim stoją"
"od szczytów więź aż do zagonów
Rozbiorem kraju forma
 pokrzywdzona woła
O łokieć z trzciny w ręku
 Pańskiego anioła.

Ale tak jak we Francji, gdzie przez długie jeszcze lata w walce o formę i o rzemieślniczą wiedzę w malarstwie, wszelki wysiłki w tym kierunku nazywano "kulinarnemi eksperymentami, które nie interesują widza" — w Polsce walka o formę była dowodem braku duchowości:

"Idę sobie do duchowych
Co materialnym zwą mię
 rzemieślnikiem,
Duch u nich **próżnia**, form brak
 postaciowych,
Nieowładnięcie formy
 treściownikiem,
Duch u nich **miejscem na duch.**

Norwid wie, że nie jest i nie może być zrozumianym:

"i drżę, i nucąc psalm, sierota, idę"

Nie mógł być Norwid zrozumiany przez swych współczesnych, jeśli jest współczesny nam. My dopiero zrozumieć możemy marzenia Norwida, "by, artyzm się złożył w całość narodowej sztuki" my dopiero zrozumieć możemy w pełni ten przepiękny fragment, w którym zamknął Norwid wszystkie swe marzenia o sztuce polskiej, w którym każden wiersz, każde słowo nabrzmiałe są głęboką treścią myśli i uczucia:

"O gdybym jedną kaplicę zobaczył,
Choćby, jak pokój ten, wielkości
 takiej,
Gdzieby się polski duch raz
 wytłomaczył,
Usymbolicznił rozkwitłemi znaki,
Gdzieby kamieniarz, cieśla, mularz,
 snycerz,
Poeta, wreszcie męczennik
 i rycerz
Odpoczął w pracy, czynie
 i w modlitwie...
Gdzieby czerwony marmur, cios,
 żelazo,
Miedź, bronz i modrzew polski
 się zjednały
Pod postaciami, co niejedną skazą
Poryte, leżą w nas, jak w sercu
 skały;
O, tobym w liściach rzeźbionych
 paproci,
I w koniczyny treflach,
 i w stokroci,
I w kos zacięciu łukiem,
 i we freskach,
O Bazyljanek mówiących
 męczeństwie,
O, tobym w drobnych nawet
 arabeskach,
Z naturą rzeczy polskiej
 w pokrewieństwie
Nierozplątanem będących, doślepił,
Że to miłości balsam bronz ten
 zlepił."

Nie wiem, czy jest ktoś nawet dzisiaj, kto jest w stanie zrozumieć w pełni "Premethidiona", czy jest "człowiek, co z tej pieśni całą myśl wysłucha, obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha". Ja chciałam tutaj tylko wyłuskać te myśli, które stały się punktem wyjścia dla polskiej myśli twórczej ostatnich stu lat, te myśli które stały się drogowskazem dla artystów polskich, te które uczyniły z imienia Norwida symbol polskiej sztuki narodowej.

M. L. DANILEWICZ

NITOŃ

(OPOWIADANIE)

Nie danem mi było żyć w owych napawdę dobrych dniach Zakopanego gdy kolej z Krakowa jeszcze nie istniała i gdy góralskie furki były jedynym łącznikiem ze światem. Ale i dwudziestu lat wystarczy by wspomnienia zamierzchłej młodości ukazały się w odświętnej gali naiwnych disneyowskich kolorów. Dziś dni są krótkie, szare i mgliste, a wtedy już gdzieś o piątej rano wschodziło jaskrawe słońce, białe chmurki przesuwały się żwawo po niezapominajkowym niebie, a gdy się wzrok przeniosło na dół, na soczyste łąki, przy drodze do Kuźnic, z urwiska Nosala widziało się białe plamki owiec, podobne do kawałeczków waty na gładkim zielonym dywanie. Wyżej młode choiny mukłe, halniakiem wydmuchane, przechodziły stopniowo w gęstwinę starego lasu. Las był na prawo i lewo, szeroko rozpostarty po zboczach miejscami przełamały go lawiny, — człowiek nie śmiał jeszcze go tknąć. Wydawał się nieruchomy i martwy. A przecież pełen był życia, roił się poprostu od zwierzyny wszelkiego autoramentu, nadziemnej i podziemnej, z wyjątkiem chyba niedźwiedzi, które chadzały bardziej na lewo, przez Krzyżne, a nawet jak twierdzili starzy górale— Zawratam po klamrach. Ale i tego nie danym mi było widzieć i najgrubszą znaną mi zwierzyną były pełne jeszcze zaufania do ludzi, rude, czarnookie sarny na Reglach.

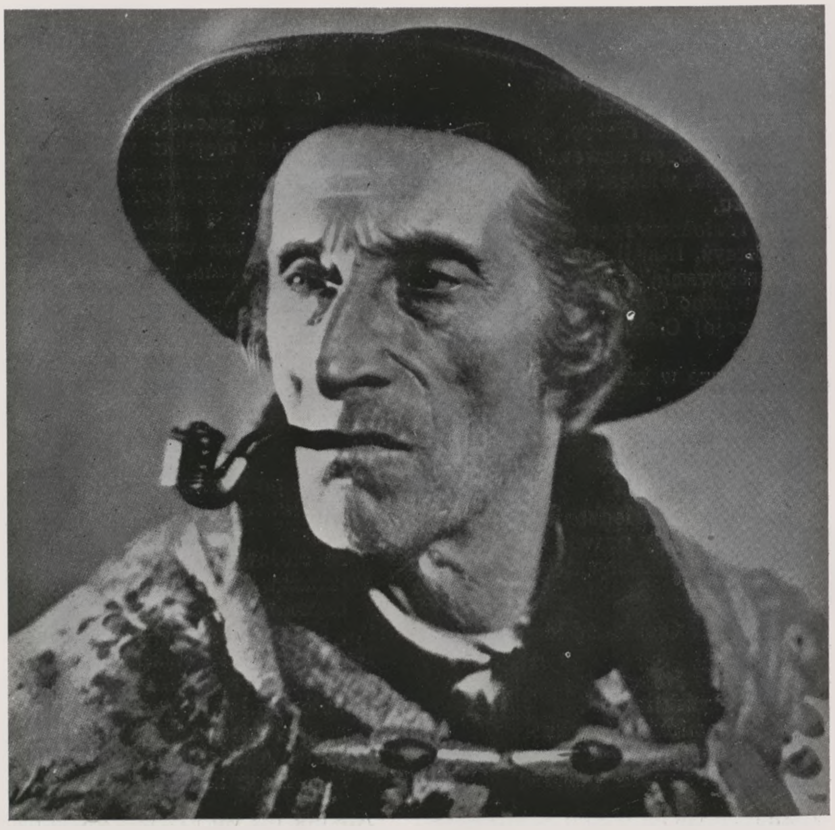
Kłusownicy — niedobitki już tylko Sabałowych druhów — na "swoje" sarny nie chadzali, uważając, że strzelanie niemal z okna chałupy, nie jest rzeczą godną górala. Iść trzeba był daleko, na "tamtą" stronę, "na Luptów'", przez Liljowe, lub Bóg jeden wie, przez jakieś dziury i wertepy. I wracać nocą, skacząc po turniach, z ciężkim kozłem, wiszącym bezwładnie przez plecy. Strzelby kryło się w górach, po kolibach, pod ciężkiemi głazami.

Wielka wojna przeszła gdzieś bokiem, bez wpływu na konstrukcję kłuscowniczej strzelby. Ciężka była ona i długa, z wąskim, częstokroć rzeźbionym łożem, nieodmiennie ładowana od lufy czarnym prochem i kulą. Do kozła poprostu nie wypadało strzelać z tej broni. Starzy górale nieprawdopodobnie bywali zręczni w posługiwaniu się nią, choć pozornie urągała wszelkim zasadom balistyki.

Za moich czasów mało już było majstrów, znających tajemnice rękodzieła rusznikarskiego. Młodzi ciągnęli do Krakowa, a zmanierowani widokiem rekruckich karabinów. patrzyli z pogardą na niegwintowane lufy. Starzy jednak pozostali wierni tradycji. Zazwyczaj sami byli kłusownikami i znali dobrze zalety i wady każdej broni.

Idąc w dół Krupówkami, wzdłuż potoku i dalej koło kościoła, skręcało się w lewo w Chramcówki, przy starej knajpie Wnuka, zbudowanej z tak olbrzymich bali, że pięć ich tylko leżało jeden nad drugim do wysokości sufitu. Chramcówki błotniste były i wąskie, zrzadka zabudowane starymi chałupami. Dziwnym zgrzytem wcinał się w nie ceglany budynek, kryty blachą, mieszczący warsztat mechaniczny. W tej niepozornej budzie, wieczorami, bez świadków. mniej niż napół oficjalnie, stary Nitoń wykonywał tajemnicze czynności. związane z powstawaniem lufy i kurków. Oficjalnie był tokarzem — stąd nasza znajomość. Z czasem wolno mi było przychodzić do warsztatu wieczorami, wreszcie i to osiągnąłem, że Nitoń przestał się krępować moją obecnością.

Strzelby robione były tylko na zamówienie i prawem było niepisanem, że przyszły posiadacz pomagał majstrowi przy robocie i że po pracy szli razem do Wnuka. Zamawiający stawał się poniekąd wspólnikiem w wykonywaniu niecałkiem legalnego procederu, co dawało większe gwarancje bezpieczeństwa.



Nitoń

Lufę lutowano srebrem, którego dostarczały tradycyjne srebrne talary Marji Teresy, z różnych powodów skromnie ukrywane na dnie zamczystych skrzyń. Skład stopu monety, technicznie biorąc, nie miał szczególnych zalet, jako spoiwo, w oczach jednak górali przesądzał o wartości strzelby. Pamiętam, że sam byłem głęboko wzruszony, gdy stary pie-

niądz krajano na paski, a następnie wiązano drutem do lufy i zamiast posypywać boraksem, okładano mokrą gliną. Nie potrafiłbym zrobić tego bez boraksu, a w dodatku glina utrudniała obserwację przedmiotu w ogniu. Stary Nitoń nieomylnie wyczuwał jednak chwilę zakończenia operacji i nie pamiętam, by mu się coś kiedyś nie udało.

W warsztacie stała stosunkowo nowoczesna tokarnia. Nie używano jej jednak nigdy przy wyrobie broni, gdyż majster twierdził, że lufa wykończona na maszynie nigdy się nie wtrzela i przywyknąć do niej trudno. Kurki i spust sprężyny, a nawet śruby wykonywane były wyłącznie przy pomocy młotka i kowadła, a następnie polerowane "kluczami". Używania pilnika lub papieru szmerglowego rytuał zabraniał.

Gotową strzelbę należało oblać sumiennie. Zainteresowani leżeli nieprzytomnie przez cały dzień następny, poczem obaj znikali — i tylko chłopak- praktykant obsługiwał tokarnię przez dwa a czasem i trzy dni. Krzepkim pomocnikom kowalskim oczy świeciły z podniecenia, a w całym warsztacie panował nastrój napiętego wyczekiwania, aczkolwiek nikt nie mówił ani słowa.

Stary wracał znienacka z miną anioła strąconego z raju na ziemię. Do pracy brał się leniwie, ziewając od ucha do ucha. Kowalaki bąkali coś pod nosem o wymiarach kozła i "Luptokach", przypominali stare gadki z lasu.

Strzelano niezawsze do źwierza i niezawsze z równym powodzeniem. Raz, pamiętam, stary wrócił dopiero po czterech dniach z ręka na temblaku, promieniejący zadowoleniem, a przy robocie nucił pod nosem, co mu się naogół nie zdarzało. Wszyscy wyłazili ze skóry z ciekawości, wreszcie kowal zagabnął:

— Nad Smreczyńskim?

— Śrótem, — odpowiedział Nitoń.

— Tyż trafiłek. Popamięto.

Na tem temat wyczerpano. Tegoż dnia Nitoń rozpoczął pertraktacje z nowym klientem.

Kozła nie widziałem, był jednak podobno wyjątkowo okazały.

STANISŁAW STROŃSKI

Jesteśmy przedewszystkiem Europejczykami

(Korespondencja własna "Tygodnika Polskiego" z Londynu)

Jednocześnie z postawieniem stopy Sprzymierzonych w Normandji i rozpoczęciem wyzwalania Europy od zachodu rozświetla się w Wielkiej Brytanji stanowisko jej wobec lądu europejskiego. Sam powrót po czterech latach na wybrzeże zachodnie Europy nad Atlantykiem jest wielkiem wydarzeniem: on revient de loin. Byłoby ono wielce zaćmione jakiemikolwiek niejasnościami i załamaniami w pojęciach o przyszłości Europy.

Zanosiło się zaś na bardzo groźne nieporozumienia i rozbieżności. Zapowiedź przyszłej Rady Europejskiej z uwzględnieniem wszystkich państw, zawarta w mowie p. Churchilla z 23 marca 1943 przebrzmiała bez następstw i jakby się rozwiała. Z narad Cordell Hull-Eden-Mołotow w Moskwie w październiku 1943 wyszła tylko Komisja Europejska trzech mocarstw, amerykańsko - brytyjsko-rosyjska, z siedzibą w Londynie.

Mogło się też wydawać, że stanowisku Wielkiej Brytanji wobec Europy nic dobrego nie wróży narada Pierwszych Ministrów Imperium Brytyjskiego, która odbywała się w Londynie od 1go do 16go maja 1944.

Utarty pogląd na politykę brytyjską głosi, że dbałość Wielkiej Brytanji o zespalanie Imperjum odciąga ją od Europy, oraz że Dominja Imperjum niechętnie patrzą na jej wtrącanie się w zawikłania europejskie, co dla nich może pociągać za sobą i rzeczywiście pociąga zobowiązania i wciągnięcia w wir zdarzeń. Któżby nie widział bardzo uchwytnych i niespornych pierwiastków takiego rozumowania, gdy Kanadyjczycy i Południowi Afrykanie walczą od blisko pięciu lat w Europie i koło Europy?

Głębiej jednak w rzecz wchodząc, trzeba zdać sobie sprawę, że Wielka Brytanja nie jest tylko związana z Europą, lecz poprostu jest częścią Europy. Jak Europa byłaby bardzo zubożała bz Oxfordu, bez Parlamentu w Westminsterze, tak też bez Europy nie byłoby Wielkiej Brytanji, ani Oxfordu, ani Shakespeare'a, ani Parlamentu w Westminstrze. ... .

Tę prawdę najistotniejszą — głębszą niż prawdy pomniejsze o niedogodnościach współżycia europejskiego — rozumieją doskonale i w Wielkiej Brytanji i w Dominjach.

Więc też, może nieoczekiwanie dla lubujących się w poglądach utartych, właśnie z narad Pierwszych Ministrów Imperjum wyszło wzmocnione hasło Europy. Świadczy to raz jeszcze o wytrwałości polityki brytyjskiej. Wielka Brytanja mogłaby snadnie zrazić Dominja, wysuwając sama na czoło swą europejskość, ale gdy Dominja do tego zachęcają, wszystko jest jak być powinno.

Po tej Wielkiej Radzie Imperjum odbyły się, od 24go do 26go maja, 1944, rozprawy Gmin i Izby Lordów o polityce międzynarodowej. Przedstawiciele Rządu J. Kr. M. mówili w tych rozprawach właśnie to co ustalono na zebraniu Pierwszych Ministrów Imperjum. I oto usłyszano o Europie słowa stanowcze i z całym naciskiem głoszone.

P. Churchill w samem zakończeniu swej mowy, a więc najdobitniej, powiedział:

"Sądzę ,że zasługuję na nazwę dobrego Europejczyka, przyczyniając się do wzniesienia przesławnego lądu Europy, macierzy tak wielu potężnych Państw, z jej obecnej niedoli jakby ogniska wybuchowego walki i burzy, do dawnej chwały rodziny narodów i żywotnego wyrazu chrześcijaństwa."

P. Eden, odparłszy bardzo mocno pogłoski niemieckie, jakoby Wielka Brytanja nie troszczyła sie o niektóre części Europy, t. zn. o wschodnie, rzekł:

"Jesteśmy przedewszystkiem Europejczykami (we are above all Europeans) i nasza sprawa (interest) w Europie nie jest ograniczona do jakiejś części tylko Europy. Celem naszym jest zapewnienie bezpieczeństwa lądowi który tyle cierpiał, lecz który też dał światu tyle światła i przodownictwa w przeszłości i nadal będzie dawał, jeśli tylko zdoła odzyskać jedność i pomyślność".

W Izbie Lordów przedstawiciel Rządu Lord Cranborne również poświęcił samo zakończenie swej mowy uwydatnieniu stanowiska Wielkiej Brytanji wobec Europy [illegible]ując się na słowa Lorda Beaconsfielda z

"Dziś starodawna Europa, piastunka spuścizny cywilizacji i wszelkich jej skarbów w piśmie i w sztuce, jest tylko zwaliskiem gruzów i złamanych serc ludzkich. Lecz Anglja, lub raczej to co nazwiemy wspólnotą Brytyjską, stoi prosto i niewzruszenie. Naszą przedewszystkiem rzeczą, którzy jesteśmy nietylko ze starego lecz i z nowego świata, jest przyjść Europie z pomocą."

Trzeba było mieć oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu, gdy głosy brytyjskie napawały nas niepokojem o Europę, lecz trzeba mieć i teraz, gdy nowe głosy, świadczą, iż zaniepokoiła się tem sama Wielka Brytanja i dzisiaj wraz z całem Imperjum wznosi wysoko sztandar Europy.

JERZY TEPA

KARTKI Z ŻYCIA POLSKICH ATEN

"Wilno pełne cennych pamiątek, drogie każdemu polskiemu sercu jest jednem z najżywiej płonących ognisk polskiej kultury. Łączy nas z niem pamięć Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Joachima Lelewela, Józefa Ignacego Kraszewskiego i wielu, wielu innych — do Józefa Piłsudskiego. Jest pochodnią cywilizacji Zachodu zatkniętą na rubieżach Wschodniej Europy."



Z wileńskiego baroku

Tym zdaniem zakończył swój słynny artykuł o polskości Wilna w "Le Monde Slave" Lon Wasilewski znakomity mąż stanu i publicysta, członek Polskiej Delegacji w Rydze w r. 1921.

Leon Wasilewski znał dobrze Wilno. Znał miasto i jego duszę, zaklętą w stare mury Uniwersytetu, w kamienne wieże czterdziestu kościołów, w błękitne fale Wilji, nad którą dumali polscy romantycy, w ciemne klasztorne sale biblioteczne, w mroczne zaułki. Znał tradycję miasta, które było nietylko grodem Matki Bokiej Ostrobramskiej, przedmiotem kultu całej Polski chrześcijańskiej — lecz zjednało sobie wiekowym wysiłkiem zaszczytną nazwę "polskich Aten".

Nazwa ta może najsłuszniej określa rolę Wilna w dziejach polskiej kultury, bo może życie żadnego z miast polskich poza Krakowem — nie było związane tak organicznie z jego uniwersytetem i ludźmi, którzy wychodzili z wszechnicy Batorego roznosząc po świecie jego sławę a wracali zawsze wspomnieniami do cichego grodu i jego wąskich florenckich uliczek.

Początki Uniwersytetu Wileńskiego sięgają jeszcze XVI wieku. W r. 1579 król Stefan Batory nadał ówczesnemu kolegjum jezuickiemu przywilej Akademji, potwierdzony przez papieża Grzegorza XIII. Akademja posiadała początkowo jedynie 3 wydziały: filozofji, prawa kanonicznego i teologji. Pierwszym jej rektorem był słynny orator i pisarz Piotr Skarga, w skład grona nauczycielskiego wchodzili m. in. pierwszy tłumacz biblji Jakób Wujek i Mateusz Sarbiewski autor doskonałych poematów w języku łacińskim. Do połowy wieku XVII Akademja rozwijała się, zyskując ufundowany przez Kazimiera Leona Sapiehę wydział prawa.

Najście Moskali, którzy zajmowali Wilno przez 6 lat, położyło kres działalności Akademji. Została ona powtórnie powołana do życia i zreorganizowana w latach 1773 i 1781 przez Komisję Edukacyjną, uzyskując wydziały medyczny i architektury. Nazwę jej zmieniono na "Szkołę Główną Wielkiego Księstwa Litewskiego" i poza zadaniami uniwersyteckiemi miała ona zająć się administracją wszystkich szkół okręgu. W okresie tym wydała wybitnych uczonych jak astronoma Poczobuta architekta Gucewicza, Pilchowskiego, Malewskiego, Giliberta, Hussarzewskiego, Strojnowskiego i. inn.



Tomasz Zan

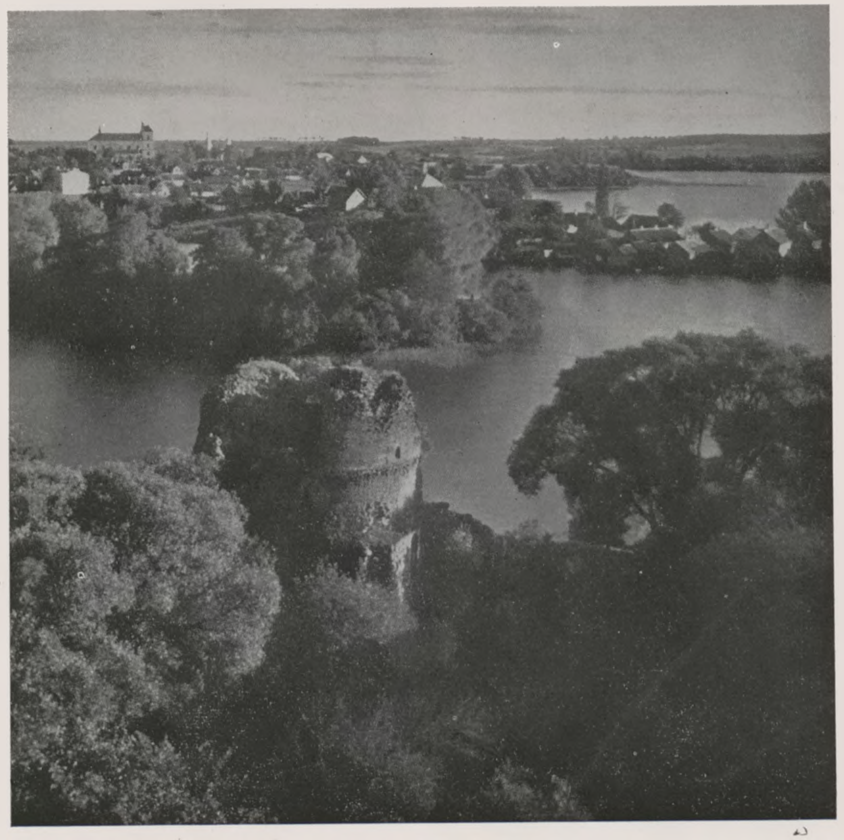
Ostatni rozbiór Polski odebrał jej autonomję i zmienił na "Szkołę Główną Wileńską". Wsechnica kresowa nie dała się jednak załamać, kontynuując swe prace i wydając uczonych o europejskiej sławie jak znakomitego chemika Jędrzeja Śniadeckiego, przyrodnika Stanisława Jundziłła i malarza Franciszka Smuglewicza.

W r. 1803 otrzmuje ostatecznie tytuł "Imperatorskiego Wileńskiegko Uniwersytetu" o 4ch wydziałach:— nauk fizyczno-matematycznych, lekarskich, moralnych i politycznych oraz literatury i sztuk wyzwolonych; pozatem szkoły okręgu wileńskiego w guberniach: wileńskiej, grodzieńskiej, witebskiej, mohylewskiej, mińskiej, wołyńskiej, kijowskiej i podolskiej znalazły się pod władzą kuratora ks. Adama Czartoryskiego i uniwersytetu którego "urząd rektorski był raczej pewnego rodzaju ministerstwem" jak to charakteryzują w swych pismach ówcześni historycy.

Współpraca ks. Adama Czartoryskiego, wizytatora Tadeusza Czackiego i rektora Jana Śniadeckiego wydaje wielce pozytywne rezultaty. Mimo ucisku administracyjnego okupantów, z których największym terorem odznaczył się znany tępiciel Polaków Nowosilców, Uniwersytet Wileński szczyci się takiemi nazwiskami jak Danilewicz, Frank, Niszkowski, Gołuchowski, Herberski i historyk Joachim Lelewel, o którym słusznie powiedziano "...sławny ten profesor wileński stał się założycielem całej szkoły historycznej, postawił naukę historji na szczyt, jakiego nikt przed nim nie osiągnął..."

Pod kierownictwem znakomitych profesorów kształciła się młodzież, zakładając sama koła oświatowe. W latach 1805-1808 powstaje towarzystwo miłośników nauki "Filomaci", osiągając szczyt wej działalności w r. 1817 za inicjatywą i dzięki wysiłkom Adama Mickiewicza i Tomasza Zana, następnie tajne stowarzyszenie wolnościowe "Filareci". Komisarz carski Nowolsilcow rozbija stowarzyszenia akademickie; członków ich aresztowano i w r. 1824 wielu z nich z Mickiewiczem, Zanem, Czeczotem i Odyńcem na czle wywieziono w głąb Rosji. Po powstaniu w r. 1831 uniwersytet został zamknięty przez władze carskie i bramy jego otworzyły się dopiero 28 sierpnia 1919 r. po odebraniu Wilna przez Polskę.

Rozpoczął się wówczas drugi wspaniały okres tej uczelni. która otworzyła już 6 wydziałów: teologji,



Jezioro Trockie

literatury, nauk ścisłych, prawa i nauk społecznych, medycyny i sztuk pięknych. Bibljotekę uniwersytecką, liczącą z górą 350,000 tomów i 12,5j2 manuskryptów udostępniono każdemu, realizując pragnienie Lelewela, spoczywającego w jej cieniach a Wilno znów stało się jednem z głównych ognisk duchowego życia narodu, świadome wielkich zadań "polskich Aten".

Słynny Uniwersytet Wileński nie stanowił jedynego oblicza miasta, którego polskość kultury przez wieki promieniowała na kraj. Wilno ma swoje piękne niezapomniane karty w dziejach literatury i piśmiennictwa, sztuki i muzyki polskiej, na polu bibliotekarstwa i teatru.

Pierwsze druki ukazały się w Wilnie już w r. 1525 ale właściwy rozwój piśmiennictwa wileńskiego przypada na okres króla Zygmunta Augusta. Wilno staje się obok Warszawy i Krakowa jednem z centrów literackich, kuźnią pamfletów i broszur religijnych, politycznych, społecznych a z początkiem XIX wieku kolebką polskiej literatury romantycznej. — Dwaj najwybitniejsi jej przedstawiciele, Adam Mickiewicz i Juljusz Słowacki tam właśnie rozpoczynają swe prace w momencie, gdy natężenie klasycyzmu dochodzi do zenitu i odczuwa się dotkliwie potrzebę świeżych prądów. W Wilnie ukazują się czasopisma literackie, rozchodzące się na całą Polskę. Wymienić z nich należy choćby "Atheneum" wydawane pod redakcją Jana Ignacego Kraszewskiego, w Wilnie tworzy i całą duszą jest z niem związany, Władysław Syrokomla, działa tam również Eliza Orzeszkowa, daremnie walcząca z władzami rosyjskiemi o utrzymanie swego zakładu wydawniczego.

Wilno ma swoje tradycje wydawnicze, sięgające wieku XVI, gdy pierwszą prasę zainstalował w mieście Leon Mamonicz. Obok wydawnictw niezwykle czynnej Księgarni Akademickiej wybijają się śmiałością inicjatywy zakłady prywatnego działacza, Józefa Zawadzkiego, Poznańczyka. Rewolucjonizuje on ruch wydawniczy wileński, nadając miastu charakter intelektualnego centrum, którego wpływy sięgają daleko poza granice połączonej Litwy i Polski. Dla przykładu wymienić należy, iż w latach 1854-1865 zakłady Zawadzkiego wydały 348 dzieł w jezyku polskim, 105 w litewskim, 107 w łacińskim, 11 w fancuskim i niemieckim, 25 w ruskim; obok Zawadzkiego działa szereg innych zakładów wydawniczych, z których najwybitniejsza staje się książnica "Lux" Ludwika Chomińskiego. Po powrocie do Polski Wilno liczyło już ponad 30 zakładów graficznych.

Nic dziwnego, iż miasto tak wyposażone w talenty pisarskie, tak przesycone atmosferą intelektualną — przodowało innym miastom ilością i bogactwem swych bibliotek.

Obok wspomnianej już Biblioteki Uniwersyteckiej (350,000 tomów) działają: Biblioteka Narodowa, ufundowana przz adwokata wileńskiego Tadeusza Wróblewskiego, licząca 100 tysięcy tomów, 30,000 "feuilles volantes", 3160 manuskryptów, obejmująca również muzeum ikonograficzne, słynną kolekcję masońską i zbiór dokumentów o Wilnie i okolicy, dalej Biblioteka Miłośników Wiedzy (dzieła naukowe), biblioteki Synodu Ewangelickiego, Seminarjum Katolickiego, Seminarjum Ortodoksyjnego, Towarzystwa Medycznego, Towarzytwa Pedagogicznego i szereg innych; nie wolno również pominąć znanej Biblioteki im. Tomasza Zana, 1000 bibliotek ludowych i 500 szkolnych.

Muzyka polska, która — jak literatura — przeżywała w Wilnie swój punkt szczytowy za panowania Stanisława Augusta, zawdzięcza początek swego rozwoju dworom magnackim, utrzymującym wzorem króla własnym sumptem trupy operowe i zespoły orkiestralne. W r. 1818 powstaje w Wilnie Towarzystwo Miłośników Muzyki, wystawiające opery. Renesans polskiej opery i pieśni związane są na zawsze z twórczością Stanisława Moniuszki, który w r. 1840 osiadł na stałe w Wilnie i poraz pierwszy tu wystawił w r. 1848 "Halkę". Teatr wileński przeszedł długą droge od widowisk religijnych, organizowanych przez Jezuitów w XVII i XVIII wieku, w których brali udział żakowie i teatrów na dworach magnatów jak Radziwiłła w Nieświeżu — do "ojca teatru polskiego" Wojciecha Bogusławskiego który w r. 1785 zakłada w mieście pierwszy stały teatr polski. Tradycje jego kontynuuje Morawski, wystawiający obok Moljera reeprtuar polski i Maciej Każyński. Od r. 1845 repertuar polski musi być dublowany przez sztuki okupanta, który na ten cęl wyznacza 3000 rubli rocznie; mimo jednak stałego wypierania polskiego dramatu romantycznego przez władze rosyjskie, repertuar moskiewski gra się przed pustą widownią. Patrjotyczna publiczność stale bojkotuje narzuconą jej rosyjską literaturę sceniczną. Renesans stałej sceny polskiej przypada na rok 1906 z założeniem nowego teatru przez Młodziejowską i Popławskiego; wystawiają oni poetów romantycznych i neoromantycznych, Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego; zjeżdża w tym czasie do Wilna świetny malarz i reżyser Ferdynand Ruszczyc.

Po uzyskaniu niepodległości Wilno staje się jednem z centrów teatralnego życia polskiego, grając w Teatrze Miejskim, na Pohulance, w Lutni, tworząc słynną "Redutę", pierwszy polski teatr eksperymentalny pod dyrekcją Mieczysława Limanowskiego i Juljusza Osterwy. Na wszystkich odcinkach nawiązuje miasto do tradycji "polskich Aten".

Jest jednak nietylko Atenami. Wielkość jego mierzy się w innej skali. W skali grodu, które złączyło dwa bratnie narody, w jedną ojczyznę. Po jego kamiennych ulicach chodzili wiekami Litwini i Polacy, przed ołtarzami jego kościołów padali na kolana przedstawiciele obu narodów, nigdy nie powaśnieni, zawsze złączeni braterską miłością i wspólną obawą o całość granic złączonego królestwa. Największy poeta Polski Adam Mickiewicz rozpoczyna "Pana Tadeusza" inwokacją "Litwo Ojczyzno moja!" nie przestając być największym z Polaków.

Być może, iż wizja poety nie przekonywuje polityków. Ale fakt, iż na ziemi litewskiej ujrzeli świat i najdzielniejsi z Polaków Tadeusz Kościuszko i Józef Piłsudski — mówi znacznie więcej.

...Bo były czasy, kiedy od polskich Aten prosta wiodła droga do polskich Termopil a wizja poety okuwać się musiała w stalowy pancerz obrońcy wspólnej sprawy i wspólnej ziemi ojczystej.

W POPRZEDNIM 30 (82) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Roman Fajans: U dowódcy frontu włoskiego generała Alexandra; Ignacy Kołłupajło: Paderewski; Marja Werten; Cyprjan Norwid i sztuka narodowa niepodległej Polski; Jan Lechoń: Cassino, Laur Kapitolu; Irena Piotrowska: Z powodu wystawy Tomasza Eakinsa; The voice of America; Wawrzyniec Czereśniewski: Warszawa — spadochroniarzom; Opinje i zdarzenia.

JAN ERDMAN

OFERMA, KTÓRA STWORZY LEGENDĘ

Kompanja stała wyciągnięta do raportu. Słońce z trudem wdrapywało się na palmę. Było senno: noc zmarnowały nam cztery naloty. Było nudno: ofenzywa gen. Wavella obywała się bez Polaków.

Szef pokrzyczał bez przekonania, wyrównał szereg i zerknął w stronę kapitańskiego namiotu.

Obok dowódcy kompanji szedł drybłas z wydatnym nosem. Pierś wpadnięta, ręce obwisłe, zsunięte owijacze: oferma!

— Podchorąży Bocheński obejmie pierwszy pluton.

Decyzja była niefortunna. Mieliśmy dotąd chłopa naschwał: jedną ręką ckm unosił, a stanowiska kopał jak kret. Zazdrościły go nam wszystkie plutony. W porównaniu z nim Bocheński był miętus i inteligencka pokraka. Nie takich nam na froncie potrzeba!

Pierwsze wrażenie potwierdziły dalsze obserwacje. Niedorajda! Nie było w nim tego fasonu, zrywu, dziarskiego stuknięcia obcasami, które cechuje dobrego żołnierza. Musztrę znał po amatorsku, przy rozkazach się jąkał, a chwyty wykonywał zbyt miękko. Nadomiar złego, kompan z niego był żaden: do Alexandrji jeździł nie na dziewczynki i piwo, ale po książki o Zajączku i Sułkowskim. W wolnych chwilach pisał.

Jak na przyszłego oficera był za dobry. Wstawał pierwszy. Kiedy służbowy gwizdał pobudkę, Bocheński już kończył golenie. Oglądał się na prawo i lewo, chwytał za blaszane kotły i chyłkiem szedł do kuchni. Raz i drugi się udało, ale wreszcie nadział się na kapitana.

— Bocheński, pan dokąd z temi garnkami?

— Po śniadanie, panie kapitanie.

— To wy nie wiecie, że dowódca plutonu nie ma prawa nosić śniadania? Namiot cały śpi, a pan podchorąży kawę taszczy! Nie wstyd wam? Ładne porządki... Dscyplinę wojskową podważacie, Bocheński....

Spoczątku więc podchorąży skompromitował się w oczach oficerów, a potem w naszych. Oto kiedy doszło do defilady (która jak wiadomo jest sprawdzianem wartości bojowej żołnierza), Bocheński poprosił o zwolnienie. Nawet się nie wykręcał.

— Maszerować nie umiem, zepsuję wam całą defiladę. W podchorążówce zawsze miałem sceny o maszerowanie "na miękkich kolanach". — Nic dobrego, panie kapitanie, z mojej defilady nie wyjdzie.

Kapitan był rozsądny, ofermę zwolnił. Poco miał ryzykować opinję 4ej kompanji ckm u grubego majora?

Wycofanie się z defilady nie przyszło Bocheńskiemu łatwo. Obowiązków zrzekał się niechętnie, przed trudnościami rezygnować nie lubił. Koledzy z podchorążówki w Coetquidan opowiadają, że Adolf w noc przed defiladą godzinami straszył wartę, tupiąc ile sił w szosę. Samotnie trenował krok defiladowy... Dopiero potem spuścił z tej ambicji.

Szczytem nszego rozczarowania był jednak wyjazd na strzelnicę. Bocheński złożył się z lewego ramienia i z najwyższym trudem wpakował dwa pociski w krawędź tarczy.

Tego dnia w messie oficerskiej rozwinęła się zażarta dyskusja czy podchorąży o tak słabych wynikach strzeleckich może pozostać na czele plutonu. Narazie postanowiono mu odebrać Tommy-gun..

A za kilka tygodni dowódcą plutonu wyznaczono porucznika, który w Polsce był instruktorem policji i z 10-ciu metrów otwierał z pistoletu butelki.

* * *

Z Adolfem zaprzyjaźniliśmy się odrazu. Zbliżyły nas wspólne zainteresowania, wspólni znajomi. Przed wojną czytałem jego artykuły w "Polityce", śmiałemi koncepcjami zwróciło uwagę studjum polityczne "Między Rosją a Trzecią Rzeszą", wydane po pakcie monachijskim.

Kampanję Wrześniową odbył Bocheński jako ułan. Zaciągnął się ochotniczo do pułku, który przechodził przez jego Ponikwę.

W końcu września przeszedł węgierską granicę. W Budapeszcie Krzyż Maltański ułatwił mu dalszą drogę.

Dzięki maltańskim stosunkom i za maltańskie pieniądze na początku października 1939 przybył do Francji. Polska podchorążówka w Coetquidan dopiero się tworzyła. Defilować się tam nie nauczył, ale ponieważ znał Hotchkissa napamięć, skończył szkołę z 6-tą lokatą.

Kiedy Brygada Podhalańska jechała do Narviku, bez skrupułów użył całej protekcji i wszystkich polskich znajomości, by do niej się dostać Odbył kampanję norweską w karabinach maszynowych, wrócił z baretką Krzyża Walecznych i kompletem tablic do obliczania celownika w okolicach górzystych.

Brygadę Podhalańską wyładowano we Francji, kiedy Petain gasił już świece. Trzeba się było przekradać na południe, do części nieokupowanej. Na hiszpańskim pograniczu Bocheński organizuje ewakuację naszych rozbitków, którzy przeciekają przez kordony niemieckie.

Kiedy akcja rozwija się gładko, Bocheński postanawia wyewakuować swoją osobę. Nie — jak wszyscy — do Anglji, tylko na Wschód, do Egiptu. Przecież Brygada Karpacka wejdzie do akcji wcześniej....

Nie mylił się. W sierpniu 1941 Brygada przerzucona zostaje do Tobruku. W stosunku kompanji do Bocheńskiego następuje zupełna przemiana.

Ten połamany inteligent staje się moralną ostoją oddziału. Podejmuje najtrudniejsze zadania, chodzi na wszystkie patrole, na ochotnika bierze udział w każdym wypadzie. Imponuje wszystkim, złości tych, co nie umieją mu dorównać.

W pierwszym wypadzie ginie obok niego przyjaciel z Coetquidan, 19 letni podchorąży Pieniążek. Skoncentrowany ogień rozsypuje oddziałek. Bocheński nie opuszcza trupa i wyciąga go spod nawały ogniowej.

W okresie przygnębienia i depresji spowodowanej stratami, Bocheński organizuje swoją "prywatną wojnę". Nie meldując dowódcy, zabiera jednego ochotnika i podpala wieżę obserwacyjną, znajdującą się wewnątrz nieprzyjacielskich linji. Po udanej wyprawie dostaje rozgrzeszenie od dowódcy, a Krzyż Walecznych od gen. Kopańskiego.

— A widzisz? Mówiłem ci, że na wojnie liczy się tylko to co zrobisz wbrew rozkazowi! — triumfował. — Rozkazy wypełniają wszyscy. Aby się wyróżnić, musisz przedewszystkiem— złamać dyscyplinę.

W Tobruku ma rekord patroli. Bierze ze sobą dwa granaty, zacinający się pistolet i dwu szeregowców. Jednego — który dobrze widzi,, a drugiego — o drugiego — o świetnym słuchu.

— Panie podchorąży, ostrożnie. Tam się coś rusza za krzakiem.

— Gdzie? Na lewo? Nic nie widzę! Pełzną dalej.

— Panie podchorąży! Hełmy widać! Czekają tam na nas.

— Duby smalon pleciecie. Dlacze-

go ja nic nie widzę? Znowu przywidziało się wam, jak w piątek. Idziemy dalej!

Kiedy są o 10 kroków, Włosi nie wytrzymują. Czujka zrywa się, rzuca granaty i ucieka.

Bocheński wybucha serdecznym śmiechem.

— A riverderci, Italiani! A więc jednak naprawdę tam siedzieli...

Rozbraja miny z wprawą zawodowego sapero. Jeden z booby-trapów wybucha. Czterech ludzi z patrolu zostaje rannych, Bocheński wychodzi cało.

Szczęście urwało się dopiero w ostatnim dniu oblężenia Tobruku.

Adolf na wypadzie podjął się przeciąć druty. Włosi obrzucili go granatami. W świetle wybuchów zobaczyliśmy, że druty są metrowej wysokości. Nie trzeba było przecinać. Zdobyliśmy pięciu jeńców.

Wracamy spowrotem. Adolf kuleje.

— Zabierz karabin. Dostali mnie granatami.

Rany były drobne, odłamkowe, ale parszywe. Trzy miesiące w szpitalu. Coś pisał, studjował osiem tomów Historji Papiestwa, dyskutował z kolegami.

I tam postanowił przenieść się do ułanów.

— Mam cały szacunek dla piechoty, ale w dzisiejszej wojnie pełnowartościowym jest tylko lotnik i pancerniak.

Nie wiem, czy to były prawdziwe powody. W chwilach słabości przyznawał się, że imponuje mu fason ułański.

— Słuchaj, przecież dowódca ułanów jest nadzwyczajny! W Tobruku pod pełnym ostrzałem odbył na siwym koniu inspekcję linji. I żeby choć kroku przyśpieszył! Kłusem. W piechocie nigdy się nic podobnego nie zdarzy..

Przeniósł się więc do Karpackiego Pułku Ułanów, do samochodów pancernych Chciał zostać zagończykiem, zmotoryzowanym Kmicicem.

Potem straciłem go z oczu. Wiem, że proponowano mu objęcie posady cywilnej. "Po wojnie" — odpowiedział. Kiedy poszedł do Włoch, urwały się nawet listy.

* * *

Por. Adolf Bocheński ("Virtuti Militari" i potrójny Krzyż Walecznych) zginął 18 lipca r. b. we Włoszech, podczas ataku na Ankonę.

SOKOŁOM I WODZOWI SOKOŁÓW

Rozpoczynające się właśnie w Pittsburgu uroczystości święcą jubileusz, jeden z najbardziej zasłużonych, jeden z tych, które jednoczą wszystkich Polaków w Ameryce i do których Polacy z kraju dołączają najszczerzej swoje słowa wdzięczności i życzenia.

Wśród, przyznajmy się szczerze, niewielu wiadomości jakie Polak "starokrajski" miał zawsze o braciach z Ameryki — ta, o istnieniu Sokolstwa Polskiego była bodaj powszechną;— wśród postaci Polonji znanych każdemu Polakowi w Polsce, patrzącemu dalej niż jego prowincjonalny opłotek — postać prezesa Starzyńskiego, pułkownika Starzyńskiego była zawsze szczególnie bliska, a jego nazwisko — jednem z symbolów patrjotyzmu i ofiarności Polonji.

Sokolstwo Polskie w Ameryce, w samem swem założeniu, nastawione bowiem było w pracy swej na łączność z Polską, na pomoc Polsce; mundur sokolski taki sam tu jak w Polsce dobrze uzmysławiał tę sokolską jedność, tę służbę wspólnej sprawie.

Jubileusz dziś święcony, przypomina, że Sokolstwo polskie w Ameryce było bojownikiem o niepodległość Polski a kiedy się pomyśli o roli jego w powstaniu armji Hallera — powiedzieć można śmiało, że było jednym z żołnierzy, którzy tę niepodległość wywalczyli. Tak samo jak w kraju, jak na europejskiej emigracji młodzi studenci, podziemni bojowcy, po nocach obkuwali wojskowe podręczniki, i na jakichś podmiejskich polanach czołgali się i rozsypywali się w tyraljerę — tak samo tu w Ameryce Sokoli ćwiczyli się po stodołach i na polach śpiewając tego samego co Sokoli w Polsce "Marsza", przypominającego, że "kiedy Ojczyzna do boju zawoła nie zbraknie żadnego Sokoła".

Dzisiaj, kiedy liczyć znów musimy między sobą tych wszystkich, którzy gotowi są oddać wszystko dla wolności, którym myśl o niewoli sen spędza z oczu, kiedy rozglądamy się za temi co napewno się nie ugną, co nigdy się nie pogodzą z przemocą — łatwiej może niż parę lat temu zrozumiemy czem byli niegdyś ci wszyscy, którym nie wystarczał dostatek i dobrobyt, którzy go rzucali na wołanie umęczonego kraju, dziś dopiero rozumiemy czem byli ci, co nie zapomnieli o biednej starej Ojczyźnie wśród wolności i dobrobytu jakiemi ich obdarzyła nowa.

Jubileusz Sokolstwa Polskiego w Ameryce przywołuje na pamięć nazwiska i twarze iluż takich działaczy, którzy poświęcili życie idei sokolej widząc w niej drogę najlepszą nietylko do zachowania polskiego ducha ale też do wskrzeszenia polskiego wojska i do odzyskania wolności.

Starzy Sokoli ze wszystkich stron Ameryki spieszący na rodzinne święto, będą liczyć swoje szeregi, wypatrując w nich tych, z któremi kiedyś ramię przy ramieniu ćwiczyli na polach za bohaterskich czasów, tych, z któremi później szli ramię przy ramieniu w tym samym hallerowskim błękitnym mundurze, pod sztandarem Polski i niosąc wolność Polsce.

Niejednego zbraknie na tej wzruszającej zbiórce, niejedna postać droga już tylko z mgieł przeszłości się wyłoni — jak dzielna, romantyczna sylwetka Stanisława Osady — będzie jubileusz niedzielny, jak każdy jubileusz przedewszystkiem rozpamiętywaniem przeszłości, tym razem naprawdę górnej i chmurnej.

Ale skoro zaczną się Sokoli liczyć w niedzielę w Pittsburgu, przekonają się zarazem jak bardzo owa przeszłość urobiła dzisiejszość polską w Ameryce, jak jej zasiew zaplonował świetnie, zrozumieją jaka w idei Sokolej była moc, jaka siła wychowawcza; gdzie spojrzą bowiem po szeregach przywódców dzisiejszej Polonji wszędzie trafią na Sokołów i zobaczą że niema prawie wybitniejszego działacza w tak różnorodnem życiu społecznem polskiem w Ameryce, któryby nie był Sokołem, nie wyszedł z sokolej szkoły.

Szanowny, nie tym zimnym, obchodowym szacunkiem, ale prawdziwą, głęboką czcią wszystkicn Polaków, wszystkim drogi, niezmożony przez ileż trudów, i przeciwności, zawsze pełen życia i ognia, planów do działania i do walki, żołnierz prawdziwy i ofiarny polskiej sprawy, pułkownik Teofil Starzyński, dusza i głowa Sokolstwa — jest zarazem doskonałym symbolem bohaterskiej przeszłości amerkańskich Sokołów i roli ich nieumniejszonej w dzisiejszem życiu. Ku niemu przedewszystkiem idą dziś myśli i życzenia, na nim skupia się przedewszystkiem wdzięczność braci Sokolej i tych wszystkich, którzy rozumieją ile polskość w Ameryce i ile Polska sama Sokołom zawdzięcza. Pułkownik Starzyński jest doprawdy obrazem pokolenia Polaków, które jak w Polsce tak i tutaj żyło z zapomnieniem zupełnem o sobie, z myślą jedyną o dobru ogólnem, o cierpieniach i potrzebach Ojczyzny.

Beż przesady można powiedzieć, że oddał on wszystko Polsce i idei, której się poświęcił — całe życie swoje i mienie; kiedy szedł na wojnę, prowadząc sformowaną przez siebie polską armję był bogatym człowiekiem; kiedy powrócił — był to już powrót do skromego życia. Ale mundur polskiego pułkownika — świadomość że zasłużył naprawdę aby go nosić — były mu nagrodą, poza którą nie chciał nigdy innej.

Dzisiaj, kiedy znów głos Polonji podnosi się w obronie starego kraju — jakże często patrzymy wszyscy właśnie na drogiego pułkownika; jakże często szukamy w nim przykładu odwagi, poświęcenia i tej miłości gorącej, która w chwilach zwrotnych jest największym, najpewniejszym rozumem; jakże często jak w czasie Zjazdu w Buffalo, jemu jest dane właśnie zespolić wszystkich, natchnąć wiarą i zapałem, scementować ważne a trudne dzieło. Jemu dziś hołd składając, czcimy to, co najpiękniejsze, najbardziej ofiarne, najbardziej polskie — w Polskiem Sokolstwie.

"TYGODNIK POLSKI"

KAMIL DZIEWANOWSKI

PRZEBŁYSK JUTRA

Działo się to 27 grudnia 1939 roku w Rydze.

Uciekłszy z więzienia i obozu internowanych z okupowanej przez wojska sowieckie Litwy, wraz z grupą innych rozbitków wrześniowych przedostałem się do Rygi. Stamtąd mieliśmy przez Szwecję jechać dalej na Zachód do Francji, do wojska.

Nastrój wśród nas panował przygnębiony. Żarł nas wstyd niedawnej klęski na której rozmiary, w braku perspektywy i możliwości porównania, nie potrafiliśmy patrzeć bez wybuchów bezkrytycznego samobiczowania. Przyszłość malowała się nam w barwach mglistych i mrocznych: poprostu jedziemy do Francji, tam wstępujemy do wojska, bez względu na posiadane już przez nas stopnie, choćby na prostego żołnierza, po krótkim przeszkoleniu wysyłają nas na linję Maginota i tam giniemy w przyzwoitej formie, z miłym usmiechem na twarzy, aby pokazać światu, że potrafimy się przynajmniej bić, że kampanja wrześniowa to był tylko przykry przypadek, wyjątek w naszej historji. Cierpieliśmy na kompleks "rehabilitacji".

Za sobą pozostawialiśmy Kraj przywalony głozem podwójnej okupacji, pokryty szczerbami zgliszcz i wciąż nowemi narastającemi mogiłami.

"Rozciętą szablą Bugu
na dwa strzępy bólu,
Milczy Ojczyzna grobami."

Czy do tych grobów i ruin dane nam będzie wrócić kiedykolwiek.

Czy zdołamy je odbudować, czy Naród nasz potrafi się podnieść po takiej klęsce?

Przed naszym wyjazdem nasi nieporównanie gościnni przyjaciele w potrzebie, Polacy z Litwy, radzili nam:

"Jak będziecie w Rydze to nie zapomnijcie odwiedzić jednego z ciekawszych w tym mieście ludzi — doktora Finka. Jest to z pochodzenia Cygan, który swym dobrym znajomym i ich przyjaciołom wróży i stawia kabały. Jest on obdarzony niezwykłą intuicją, a nam — mówili — przepowiedział szereg razy wypadki, które potem sprawdziły się ze zdumiewającą dokładnością. To on właśnie w grudniu 1938 roku wybuch wojny przewidywał na początek września tego roku."

Po przyjeździe do Rygi towarzysze moi, zajęci załatwianiem rozlicznych spraw przedwyjezdnych, nie bardzo kwapili się do zobaczenia doktora Finka. Ja sam też początkowo nie mogłem się doń wybrać.

"Tu ne quaesieris scire nefas
quaem mihi quaem tibi
"Finem Di dederint..."

dzwoniły mi w uszach słowa Horacego.

A zresztą poco zawracać sobie głowę wróżbami, poco niemęską ucieczką w jutro przysłaniać sobie oblicze dnia dzisiejszego?

Wreszcie w ostatniej chwili, na kilka godzin przed odlotem do Sztokholmu, zdecydowałem się. Poszedłem.

Doktor Fink, typowy cygan przebrany w strój tak zwanego inteligienta, przyjął mnie w swym pokoju zawalonym książkami. Pierwsze moje wrażenie nie było zbyt korzystne: rozmowa toczyła się po niemiecku — a gospodarz mój wydawał się mieć głowę zajętą myślami odciągającemi jego uwagę od mojej osoby.

Po opisaniu mego udziału w kampanji wrześniowej w słowach bardzo ogólnikowych, które od biedy mogłyby pasować do każdego żołnierza mającego za sobą kilka tygodni walk, zapewnił mnie, iż obie osoby o których los się niepokoję są całe, zdrowe i bezpieczne.

Stereotypowe to powiedzenie potraktowałem wówczas jako nieodzowny zwrot wróżebnej retoryki, już jednak w kilkanaście dni potem mogłem przekonać się o prawdziwości tych słów.

Nie widząc zapału u zerkającego co chwila na swe książki gospodarza, wstałem i sięgnąłem do kieszeni aby uregulować moją należnoć.

"Co jestem Panu winien?"

Doktor Fink zdjął swe okulary i wpatrując się we mnie swym badawczym wzrokiem, powiedział:

"Proszę Pana, niech mi Pan nie płaci całej należności, to znaczy dziesięciu łatów; przecież nie mogę Pana obdzierać ze wszystkich pieniędzy jakie Pan w tej chwili posiada. Dosyć będzie jak dostanę pięć."

Wyjąłem portmonetkę w której było rzeczywiście tylko około 12 łatów, odliczyłem 5 i położyłem je na stole. W tym momencie wzrok mój padł na słowniki, stos oprawnych w gazety książek i na leżący na ich wierzchu mały wązki zeszycik w niebieskiej okładce. Nie mogłem się powstrzymać aby nie spojrzeć na zawartość tego zeszycika, stronice jego były zapełnione starannie zapisanemi słowami polskiemi i niemieckiemi...

Zdumiałem się. Doktor Fink zauważył najwidoczniej moje osłupienie bo powiedział: "Widzi Pan, od kilku miesięcy uczę się polskiego. Jeżeli przypadkiem po wojnie, przejeżdżając przez Rygę zajdzie pan mnie odwiedzić, to będę już napewno mówić po polsku conajmniej tak płynnie jak dziś po niemiecku, jeżeli nie lepiej."

Cygan-wróżbita uczy się po polsku w grudniu 1939 roku pod okupacją sowiecką! Ktoś uczy się języka narodu który trzy miesiące temu poniósł jedną z najstrasźliwszych klęsk w swej historji, którego los przypieczętowało sprzysiężenie najpotężniejszych totalizmów.

"Więc jakto..." — powtórzyłem machinalnie...

"Tak Ta wojna — powiedział doktor Fink — będzie długa i straszna, dłuższa i straszniejsza niż poprzednia, trzy razy zaleje nas fala nawałnicy, ale Polska wyjdzie z tej wojny zwycięska i stanie się w niedługim czasie silniejsza i potężniejsza niż kiedykolwiek przedtem."

"I dlatego uczę się polskiego — dodał — po wojnie będzie bardzo potrzebny."

OPINJE I ZDARZENIA

ŚP. KAPITAN KSIĄDZ STANISŁAW TARGOSZ

Z Frontu Włoskiego otrzymalimy smutną wiadomość, że dobrze znany Polonji Amerykańskiej, kapelan Armji Polskiej Ks. Stanisław Targosz zginął śmiercią żołnierza w dniu 30 czerwca, licząc zaledwie 33 lat.

Ks. Targosz przeszedł najcięższe walki stoczone pod Monte Cassino niosąc w pierwszej linji bojowej pomoc i opiekę duchowną walczącym żołnierzom. W czasie walk nad rzeką Chianti, niedaleko Ancony, samochód w którym przewoził zwłoki poległych żołnierzy najechał na minę i wówczas ks. Targosz wra z kilku żołnierzami ponieśli śmierć.

Poległy w walce o wolność kapelan przybył do Ameryki tuż przed wojną na Kongres młodzieży katolickiej. Nie mogąc wrócić do kraju przebywał w Detroit, pracując jako kapłan i organizator społeczny tak wśród Polonji jak i wśród uchodźców wojennych, których związek zorganizował. Z chwilą otwarcia obozu wojsk polskich w Windsor, zgłosił się do Armji i pełnił służbę w Owen Sound. W czasie pobytu w Ameryce wydał własnym kosztem cenną książkę pt. "Polonia Katolicka w Stanach Zjedn." Na początku 1943 r. wyjechał do Armji Gen. Andersa, gdzie spotkał się z bratem swoim, Por. Tomaszem, który wywieziony był do Rosji w r. 1940. Obaj razem po przejściu okresu ćwiczeń, wyjechali na front włoski gdzie ks. Targosz pełnił obowiązki kapelana na linji bojowej. Niestety nie było mu dane wrócić do Wolnej Polski. Cześć Jego pamięci.

JESZCZE JEDEN GŁOS O CASSINO

Umieszczamy wyciągi z listu padłego na polu walki Ks. Kapelana Stanisława Targosza, pisanego do jednego z przyjaciół w Stanach Zjednoczonych:

— "Musiało panu bić serce niewymownie, kiedy się dowiedział, że Polacy atakują Monte Cassino — górę, do której zabierali się inni — i ulegli".

— "Ciężka to była robota. Kiedy należało atakować pill-box'y — nasi szli z determinacją, trudną do wiary. Oficer niemiecki, który uciekając na minę swoją własną wleciał i nogę mu urwało — powiedział, że byli pewni, że nikt nie zdobędzie Monte Cassino; ale kiedy stanęli naprzeciw Polacy — to zakradło się w ich duszę zwątpienie. Ten sam oficer powiedział, że nigdy nie widział, by tak piechota atakowała. A mówiąc to mokratyczną, okazję wystąpić w obwcale nie wyrażał nam przyjaźni, nie schlebiał. Tego oficera operowało trzech lekarzy polskich. Po ukończeniu operacji powiedzieli mu, że taką oto monetą Polacy odpłacają".

PREZES ROZMAREK W OBRONIE POLSKI

Prezes Kongresu Polonji i prezes Związku Narodowego Polskiego pan Karol Rozmarek, miał jako delegat at large z Chicago na Konwencję Deronie praw Polski, w duchu tych uchwał, które Kongres Polonji powziął i dla których postanowił prowadzić stałą pracę.

Zaproszony do przemówienia na posiedzeniu Komitetu Rezolucji i Platformy Konwencji Demokratycznej prezes Rozmarek wyłożył punkt widzenia Amerykanów polskiego pochodzenia na zastosowanie Karty Atlantyckiej do organizacji powojennego wiata. Prezes Olejniczak zastępca delegata poparł całkowicie wywody swego kolegi.

Oto ważniejsze myśli z jasnego i stanowczego expose prezesa Rozmarka.

"Uznajemy Kartę Atlantycką i Cztery Wolności, za kamień węgielny amerykańskiej polityki zagranicznej. Sprawiedliwe zastosowanie zasad, wyłuszczonych w tych dwóch historycznych dokumentach względem Zjednoczonych Narodów, zarówno dużych, jak i małych, zapobiegnie trzeciej wojnie światowej za naszej generacji".

"Sprawiedliwe zastosowanie zasad wyłuszczonych w Karcie Atlantyckiej zapewni sprawiedliwy i trwały pokój wszystkim Zjednoczonym Narodom, wśród których znajduje się nasz pierwszy i zawsze wierny sojusznik — Polska.

Jako Amerykanin czuję się dumny, że nasz Prezydent — Franklin D. Roosevelt, sformułował Cztery Wolności i Kartę Atlantycką jako nasze cele wojenne. My Amerykanie słaliśmy chętnie nasze dzieci na pola walk, ponieważ mieliśmy pewność, że te cele wojenne pozostaną światłem przewodnim dla Zjednoczonych Narodów na trudnej, ale prostej drodze ku lepszemu światu demokratycznemu; że każdy zjednoczony naród po tej wojnie będzie miał prawo wybrania sobie własnego rządu bez mieszania się i bez nacisku ze strony innego zjednoczonego narodu; i że terytorialna niezależność któregokolwiek zjednoczonego narodu nie będzie zagrożona przez jakiekolwiek jednostronne umowy.

"Jesteśmy za współpracą wszystkich Zjednoczonych Narodów, lecz aby ta współpraca była naprawdę skuteczna, musi się ją oprzeć na naszych



Prezydent Raczkiewicz wręcza spadochroniarzom sztandar przysłany przez podziemną Warszawę

amerykańskich zasadach równości, a nie na zasadach siły i przemocy.

"Jeśli mamy wygrać pokój, który po tej wojnie nastąpi, Ameryka musi przyjąć duchowe i polityczne przewodnictwo w tej wojnie. Jeśli nie staniemy mocno przy świętych zasadach ucieleśnionych w Karcie Atlantyckiej, napewno zrodzi się w naszej generacji trzecia wojna światowa, gorsza od obecnej.

"MINISTER" WINCENTY RZYMOWSKI

Gdyby ktoś miał wątpliwości, gdzie sięgały Sowiety aby zwerbować ministrów do swego rzekomo polskiego rządu, wystarczyłoby to, cośmy się z osłupieniem dowiedzieli, że mianowicie ministrem kultury w owym rządzie mianowany został Wincenty Rzymowski.

Rzymowski był to bowiem okaz poprostu kliniczny tego, co może z człowieka talentu zrobić programowy cynizm i brak charakteru. Publicysta pełen polotu, umysł ciekawy nowinek, ze skłonnością do krańcowości miał Rzymowski piękną kartę w polskiem politycznem piśmiennict, kiedy śmiało redagował na początku poprzedniej wojny "Widnokrąg" warszawski i pięknie, patetycznym słowem wzywał do walki zbrojnej. Na tem przecież skończył się ów okres bohaterski. W niepodległej Polsce poszedł Rzymowski po linji naprawdę najmniejszego oporu, pisząc coraz bardziej aby zarobić, coraz też gorzej i żyjąc opinją dawnych świetności i pełnej zapowiedzi młodości.

I wreszcie — Kapitol jakże bliski jest Tarpejskiej skały — przyszedł skandal, który wyrzucił Rzymowskiego poza nawias nietlko literackiego życia w Polsce ale wogóle poza nawias społeczeństwa. W jakiś czas po wyborze do Akademi Literatury — dowiedziono Rzymowskiemu, że popełnił plagjat i zmuszono go aby zeszedł z wygodnego fotela, (ktoś dowcipnie powiedział wtedy, że Rzymowski "splamił fotel"). Rzymowski zniknął tak iż doprawdy słuch po nim zaginął. I dopiero teraz wypływa aby opiekować się kulturą. Kulturą, którą najwidoczniej rozumie tak samo jak ci, co go z hańby wyciągnęli na jakże podejrzane zaszczyty.

Ciekawe byłoby wiedzieć, co pomyślał Tuwim, gdy dowiedział się, że to Rzymowski ma budować kulturę nowej "zgodzonej z Rosją" Polski.

TAK TRZEBA MÓWIĆ

W nowojorskim "Robotniku Polskim" ukazał się artykuł Adama Ciołkosza p. t. "Chleb macierzysty demokracji polskiej", artykuł godny aby go rozplakatować i w wielotysięcznych odbitkach posłać tam wszędzie, gdzie się szerzy niewiara polska w naród, w nasze siły, w nasze prawa, niewiara działająca jak podskórna trucizna. Tak należy myśleć o Polsce, tak czuć, tak pisać, tak napewno czują robotnicy polscy w kraju, nad któremi zapasione tchórze emigranckie biadają, przekonane, czy chcące wierzyć że ten robotnik myśli już tylko o tem jakby paść na kolana przed Sowietami i błagać o życie.

Artykuł Ciołkosza jest wskazaniem, że tylko odwagą, tylko wiarą, tylko poczuciem praw swoich można okazać siłę, stać się siłą, — jest on odprawą pomniejszycielom Polski, którzy są zawsze mimowolnemi sprzymierzeńcami jej wrogów.

MAŁY ARAB — MARJAN SALIŃSKI

Pisząc o życiu junaków na Bliskim Wschodzie "Polska Walcząca" taki oto podaje ciekawy i wzruszający z tego życia obrazek:

Środowisko junackie jest atrakcyjne nie tylko dla Polaków. Bo na przykład taki... "Marjan Saliński".

Mały Arabczuk z zachwytem patrzy na junaków. Kręci się w pobliżu, uzdolniony do języków obcych jak wszyscy Arabowie, chwyta w lot polskie słowa, w krótkim czasie mówi już płynnie po polsku. Miły, grzeczny, lgnie do polskich chłopców, ten pomocnik fryzjera w sąsiedniej osadzie żydowsko-arabskiej. Dostaje od swych polskich przyjaciół z powszechnej furażerkę, co mu nie wystarcza. Wyjednuje jeszcze książkę do nauki polskiego. Niedługo, a pisze listy polskie. Wreszcie całkiem poprawnie pisze podanie do szkoły że on, Marjan Saliński — tak sam się teraz nazywa — chce być junakiem, że chce chodzić do polskiej szkoły.



"Polski Arabczuk" Marjan Saliński

"Marian", śniady Arabczuk zapewnia, że nie zostanie w Palestynie. Pojedzie do Polski. Jest uparty, skoro nauczył się pisać po polsku. Uwierzyć więc łatwo, że pojedzie i do Polski, ten junak arabski, który w święta kolęduje po polsku z chłopcami.

GABRESKI BIJE WŁASNY REKORD

Nasz, tak nasz płk. Frank Gabreski, dla ścisłości syn państwa Gabryszewskich z Oil City — zaledwie w dwa tygodnie po swym wyczynie, który postawił go w pierwszm szeregu asów amerkańskiego lotnictwa, pobił własny rekord, strącając 31 nieprzyjacielski samolot. Oznacza to napewno opóźnienie w zapowiedzianych uroczystościach, ku uczczeniu naszego rodaka, ale zwiększa zarazem powody aby ta uroczystość się odbyła. Polonja nie powinna niczego zaniedbać aby jaknajpiękniej, jaknajgłośniej zamanifestować swą radość, że to Amerykański Polak takich czynów dokonał, aby podkreślić że jest on zarówno amerykańskim jak polskim bohaterem, walczącym za wolność obu krajów. Nie dajmy zaspać tej sprawie, bo jest to okazja wyjątkowa aby ogół się dowiedział najlepszych rzeczy o Polakach i o Polonji.

Z GALERJI POLSKI PODZIEMNEJ: PLUTONOWY OSA

Huk wystrzałów karabinowych toczy się po lesie pod Długim Kątem. Kule pluskają po pniach, gwiżdżą wśród gąszczu, ścięte gałązki szeleszczą w locie liśćmi. Broń maszynowa zanosi się rozdzierającym terkotem.

Pod grubą jodłą, przywarty do pnia, schylony jak do skoku stoi plutonowy Osa, ze swoim rkm, trzymanym po myśliwsku pod pachą. W zdobywczym płaszczu niemieckim ochronnej barwy, w hełmie stalowym — niczym rodzony brat drzew — tak przypomina nieruchomy, omszały pień.

Od drzewa do drzewa, naprzód. Wśród śpiewających kul przechodzi szybkim, spokojnym krokiem. Od pnia do pnia — nawet nie pada. Szkoda czasu. Byle naprzód, byle dorwać się wroga. Jeśli przystanie to po to, by cisnąć w cel upatrzony snop niezawodnych kul.

Strzelec pierwszorzędny. Niech Bóg broni dostać się w zasięg jego "organów'.

Osa kocha się w broni. Jego karabin to cacko, wychuchane, wymuskane, godzinami czyszczone z macierzyńską niemal pieczołowitością. W ogniu oszczędza kul. Strzela spokojnie, z namysłem, ale też z bezwzględną skutecznością.

Strach? On tego słowa nie rozumie. Trudno nawet mówić, że jest odważny, skoro zamiast lęku przeżywa emocje, niczym myśliwy na polowaniu. W ogniu czyni wrażenie jakby nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Czujny, baczny na wszystko, widzi każdego swego żołnierza, trzyma ich w garści jak sprężonych.

...Gwizdek. Sygnał odwrotu. Twarz Osy szarzeje, oczy przygasają Cofa się ociągając, niechętnie, jakby między nim a wrogiem była jakaś siła nieodparcie przyciągająca.

Ale rozkaz — rozkazem. Osa powraca z oddziałem smutny jak człowiek zawiedziony w nadziejach, jak dziecko po stracie ukochanej zabawki.

—Nie martw się. Nie jutro, to za parę dni pójdziemy i weźmiemy ich w łapy. Będzie lepszy skutek...

Osa rozchmurza się powoli..

— Ba, mielibyśmy i tych i tamtych. A co najważniejsze, w wagonach broń została. Przydałoby się parę "fujarek".

Lecz w oczach pozostaje mu zwykły cień, sprawiający, że źrenice wydają się wyblakłe, wypłowiałe. Szczupła postać przygarbia się sennie. To znów, jest Osa "na codzień", niepozorny blondynek, poczciwie zatroskany o "swoich ludzi".

Serce ma dla nich, grupki leśnych żołnierzy, jak matka. Współczujące, zabiegliwe, troskliwe. Niech tylko zabraknie mięsa: Osa nie dośpi, nie spocznie przez noc, a na rano wlecze upolowanego koziołka z lasu. Kiedy z "Visem" od wszelkiego wypadku w kieszeni wędruje po cywilnemu po wsi, już tam nepewno coś przyniesie "chłopcom" dobrego. Dla nich nawet swoje "szalone" powodzenie u kobiet potrafi wykorzystać.

"WILSON"

We wtorek 1-go sierpnia, w teatrze Roxy przy 7 Ave. i 50 ulicy w New Yorku, odbędzie się premjera wielkiego filmu o czynach jednego z wielkich prezydentów Stanów Zjednoczonych, Woodrowa Wilsona, p. t. "Wilson". Polaków film ten z pewnością szczególnie zainteresuje, bo Wilson był orędownikiem sprawy polskiej i on pierwszy z pośród wodzów demokracji w poprzedniej wojnie światowej, powiedział światu, że Polska musi być cała wolna i mieć dostęp do morza.

